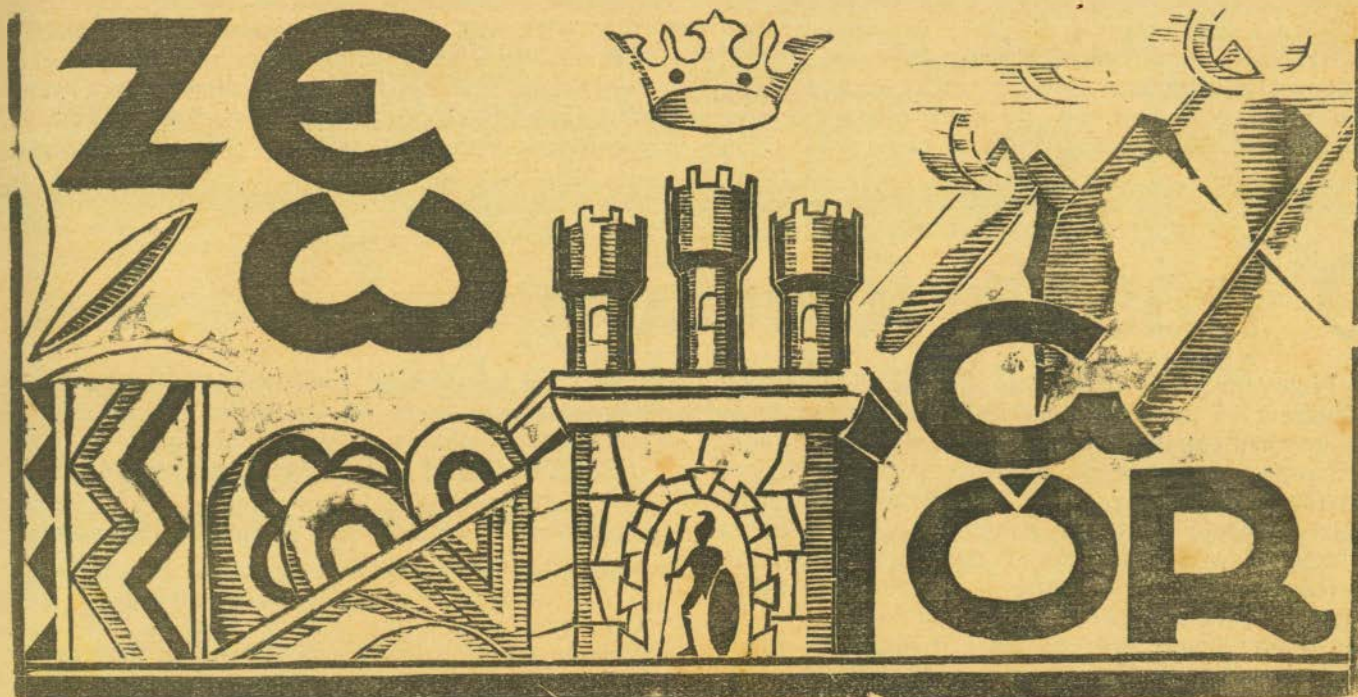




Organ Zrzeszenia Młodzieży Szkół Średnich w Nowym Sączu

Rok III.

Nowy Sącz, dnia 15 października 1935

Nr. 15

Potęga w rozmachu pracy!

„Nie należy kroczyć przez tę ziemię nie zostawiając śladów polecających nas potomności !...

(Napoleon)

Powiedzieliśmy sobie przed półtora rokiem, że wspólnym wysiłkiem powołujemy do życia organ prasowy, który przy solidarnym poparciu młodzieży szkolnej, ma pogłębiać w nas wiedzę ogólną, ujawniać siłę żywotną u nas młodzieży, ma być doradcą i powiernikiem, nieodłącznym druhem każdej uczennicy, każdego ucznia. Wychodząc z założenia, że w jedności siła, ujawniliśmy ją w całej pełni, wypuszczając pismo, jakim nie każda szkoła poszczycić się może. Wprawiliśmy w zdumienie swoich i obcych, czyniąc duży wysiłek samodzielny i biorąc na siebie pewnego rodzaju moralny obowiązek, podtrzymania chlubnej dla siebie placówki.

Wznośmy wciąż dalej potężną budowlę i nie stójmy beczynnie, lub co gorzej, nie rozbierajmy jej powoli. Nasuwa się tutaj porównanie do rolnika, który zaorał i zasiał szmat ziemi, a zniecierpliwiony powolnym dojrzewaniem rzuconego w glebę ziarna, porzucił ojczysty zagon, zatracając włożone kapitały. Zapominaliśmy o tem, że wszelki początek, każdej niemal sprawy najeżony jest trudnościami. Trudności pokonywać, jest rzeczą ludzi silnych i zahartowanych ludzi, którzy umieją się zdobyć na wysiłek woli, wysiłek czynu. A czy my młodzież szkolna mamy uchodzić za innych?

Przenigdy!

Na to nie może pozwolić nam nasza ambicja i świadomość odpowiedzialności za pracę, której staliśmy się pionierami.

Odpowiedzialność przed tymi, którzy po nas nastąpią i którzy kroczyć będą torami przez nas urobionymi.

Pismo jest naszego życia obrazem. Jakimi jesteśmy, takie jest nasze pismo. Nie trzeba się zrażać, że artykułów niektórych Redakcja nie umieszcza. Spytajmy ludzi, dziś wielkich na polu piśmiennictwa, czy od razu stali się wielkimi i czy ich artykuły wszędzie przyjmowano i zawsze. Przekonalibyśmy się, że tak nie było. Nie zrażali się tem, lecz dalej pracowali i dziś, stoją u szczytu swej sławy.

Ideą przewodnią naszego życia jest mocarstwo-wa rozbudowa Polski. Pojęcie mocarstwowości mieści się w każdej pracy rzetelnie przez nas wykonanej, mieści się także i na odcinku naszego pisma.

„... od wszystkich obywateli mamy obowiązek żądać, by każdy swoim trudem, swoim wysiłkiem, swoją pracą tę naszą wspólną siłą zbiorową, naszą zdolność do stawiania czoła przeciwnościom, słowem, wszystkie nasze wartości pozytywne, rozbudował. Mamy obowiązek iść do wszystkich ludzi, zamieszkujących w Polsce, przede wszystkim do wszystkich Polaków, z tą prawdą, że tylko własnym wysiłkiem zbudować możemy naszą potęgę, że w tej pracy nikt nas nie wyręczy.“

Ta praca społeczeństwa musi się oprzeć wyłącznie na ludziach, którzy z całą ofiarnością i poświęceniem pracować będą dla osiągnięcia zamierzonego celu. Należy usunąć na bok ludzi, którzy nie będą należycie spełniać swego zadania, swych obowiązków. Nie bądźmy tymi, których Ojczyzna będzie musiała na bok usunąć. Bądźmy nacechowani samodzielnością i

aktywnością, oderwijmy się od frazesów, doktryn i demagogii i skierujmy się do pracy nad rozwiązywaniem realnych zagadnień, wreszcie usunijmy to, co jest bezideowe i egoistyczne. Dziś z początkiem roku szkolnego rzucamy wezwanie do pracy i wysiłku, aby wystrzeliły te siły, które drzemiały w nas!

Nie schodźmy zatem z zajętego stanowiska i jak jeden mąż okażmy poparcie własnej placówce. Niechaj między książkami u nas młodzieży szkolnej nie braknie, naszego najlepszego towarzysza i powiernika „Zew Gór“. To będzie jednym ze śladów, które pozostawimy potomności!

Tad. Stefaniszyn.

O naszą ideologię.

Nowy rok pracy rozpoczyna „Zew Gór“ skromnym jubileuszem 15 numeru, który jest chyba najważniejszym momentem do zamknięcia przeszłości, zesumowania pracy i rozpoczęcia nowego okresu intensywnego rozwoju pisma z ściśle wyznaczonym celem. Chodzi właśnie o ten cel istnienia pisma, o naszą ideologię. „Zew Gór“ istnieje już dość długo, a jeszcze ani jedno słowo nie padło w tej sprawie. Może i słusznie. Dwa minione lata istnienia pisma, to ciągła walka o utrzymanie go przy życiu, i mówcza praca nad stworzeniem realnych podstaw, na których można byłoby oprzeć w dalszym stadium rozwoju. Dzisiaj jest już pewnem, że „Zew Gór“ istnieje i istnieć będzie, skończyła się już walka o byt, następuje teraz okres nowej, niemniej ciężkiej pracy nad wciągnięciem do współpracy jaknajszerszych kół młodzieży. Teraz właśnie nadeszła chwila, aby zakończyć okres próby, ukazać się we właściwym świetle, aby zapalić kolegów z tym nowym rokiem szkolnym do rzetelnej pracy nad sobą pod zewem naszego pisma. Jest rzeczą konieczną wyznaczenie wyraźnego celu, konkretnej ideologii, według której postępowanoby konsekwentnie w przyszłości.

Może się wyda komu dziwnem, czy może nawet śmiesznem, że takie skromne pismo, jak „Zew Gór“ już ma pretensję do jakiejś ideologii.

Niestety przeważnie źle pojmujemy znaczenie ideologii. W naszym pojęciu ideologia łączy się zawsze z szumnymi hasłami i próżnemi frazesami. Takie jest powszechne mniemanie, gdyż żyjemy teraz w czasach niezdrowych, przejściowych, kiedy najmniejsze organizacje starają się właśnie zapomocą frazesów i reklamy zjednać sobie jak najwięcej członków, ukazując im jakąś odległą z palca wyssaną, a zato różową przyszłość, opartą na werbalizmie, a nie na konkretnej pracy.

Nasza ideologia jest zasadniczo inna. „Zew Gór“ powinien być nieubłagany wrogiem takich organizacji, musi zwalczać werbalizm i grafomaństwo, starając się wytworzyć typ odpowiedzialnego człowieka pracy, niezawodne kółko w mechanizmie państwa.

Mając to wszystko na uwadze, umyślnie dopiero teraz trzeba poruszyć tę sprawę, po dwuletniej pracy, opierając się na konkretnych wynikach, aby nikt nie mógł zarzucić nam pustych frazesów.

Nasza ideologia idzie i musi iść po myśli państwowo-twórczej. Minęły już czasy, kiedy sprawy osobiste stawiano przed Państwem, w obecnych warunkach państwo nie może czegoś podobnego tolerować; dobro Ojczyzny jest prawem naczelnem i pod to musi być wszystko podporządkowane. *Salus Rei publicae suprema lex esto.*

„Zew Gór“ jest szkołą, w której przygotowujemy się do prawdziwej pracy dla Państwa, w której mu-

simy zdać egzamin ze swej dojrzałości do przyszłego samodzielnego życia. Młodzież jest przyszłością państwa, ale to nakłada pewne obowiązki, do których spełnienia musimy być należycie przygotowani.

Zmienimy więc nasz stosunek do „Zwu Gór“ z obojętnej tolerancji na czynne zainteresowanie i zdajmy egzaminy celująco.

A „Zew Gór“ niech będzie żarem całego Podhala. Ale niech ten zew nie kończy się tylko na samym Podhalu, niech idzie na całą Polskę od niebotycznych Tat po cicho szemrzące fale Bałtyku i po Dźwinę, i niech przypomni wszystkim, że i młode Podhale stanęło do wyścigu pracy, że kształci się i pracuje nad swym charakterem, by stworzyć typ nowego obywatela, gotowego do wszelkich poświęceń dla Ojczyzny, do którego należy jutro Polski.

Kazimierz Żytyński, Kraków Gimn. III., b. uczeń Gimn. I.

Stanisława Stefaniszynówna

V kurs sem. im. M. Konopnickiej.

MATKA BOSKA RÓŻAŃCOWA

Kiedy zwątpienie w mą duszę się wkradnie,
Boleść sercem wstrząśnie i umilkną słowa,
Kiedy świat stanie beczynnym, bezradnym,
Ty nas wspomóżes Matko Różańcowa!

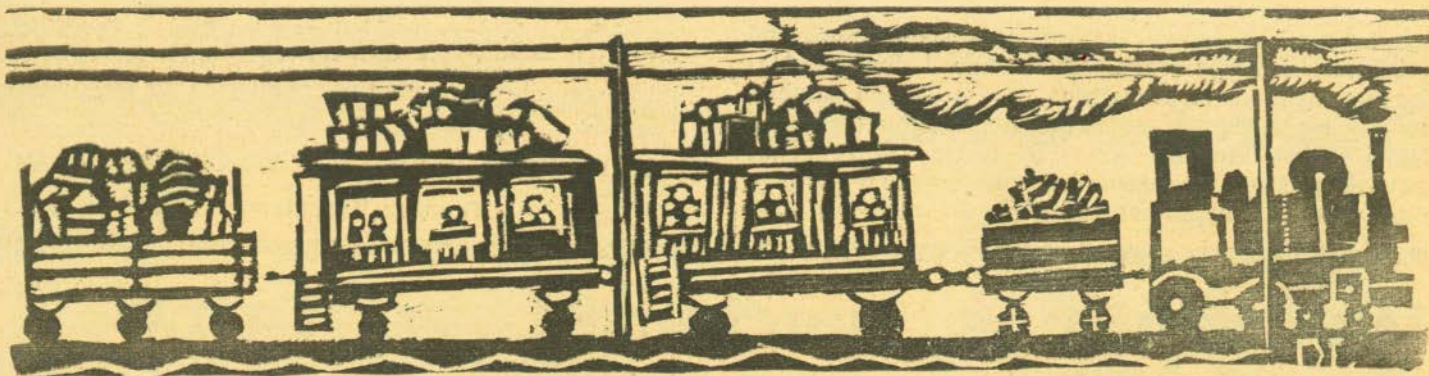
Śpieszy do Ciebie falanga młodzieńcza
Z wielką ufnością do swej drogiej Matki,
I kwiatami modlitwy Twą skroń uwieńczą,
Dając Ci duszy najpiękniejsze kwiatki.

Wszystko co żyje, do Ciebie się garnie.
Najpiękniejsze kwiaty dają swe wonie,
Wszystko się korzy przed Tobą ofiarnie,
O! Ty słoneczna w tęczowej koronie!

Do Ciebie, tęsknię, o Niepokalana!
Ty co z różańcem stoisz nad gwiazdami,
Z wielkim zachwytem w Ciebie zapał zrona,
Błagam pokornie: „Módl się za nami“!

Opasz różańcem mą drogą Ojczyznę,
By szatan nie wtargnął w męczeńską jej ziemię,
Patr... ona na sobie ma niewoli bliznę —
I krwią niewinną ochrzczone ma imię.

**Wiara w swoje siły,
jest połową zwycięstwa!**



Pokłosie wakacyjnych wycieczek

Ogólne wiadomości o porcie gdyńskim

(Na podstawie wywiadu u p. kapitana okrętu „Gdańsk” należącego do żeglugi przybrzeżnej.)

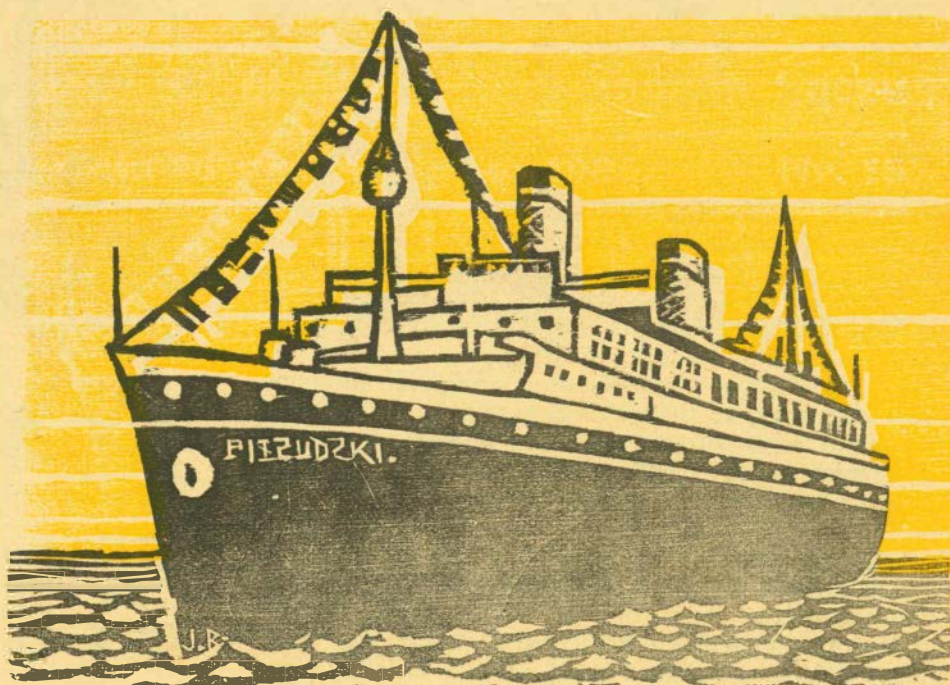
Po wielkiej wojnie światowej Traktat Wersalski przyznał Polsce wolny dostęp do morza i prawo korzystania z portu gdańskiego i jego urządzeń. Ponieważ stan ten nie dawał Polsce całkowitej swobody działania w Gdańsku, (podczas wojny bolszewickiej Gdańsk nie chciał dopuścić amunicji do Polski, dopiero przez państwa zwycięskie został zmuszony), przeto Rząd Polski zdecydował budowę własnego portu na wybrzeżu polskim, terenie stanowiącym bezsprzeczną część składową naszego państwa, by w ten sposób uniezależnić się od kaprysów władz gdańskich.

Pozatem momentem przemawiającym za budową własnego portu był fakt, że port gdański — nawet wszechstronnie rozbudowany — nie mógłby sprostać potrzebom Polski, jeśli chodzi o jej ekspansję gospodarczą; dlatego Rząd nasz w kilka lat po odzyskaniu niepodległości przystąpił do budowy nowego portu w wiosce rybackiej Gdyni.

Budowę portu powierzono Konsorcjum Francusko-Polskiemu. Konsorcjum to budowało port według planu polskich inżynierów, pod nadzorem władz morskich.

Należyte tempo przybrała budowa portu dopiero w 1926 roku. Rok ten przeszedł do historii portu jako data zdecydowanego wysiłku Polski nad ugruntowaniem swego stanu posiadania portu nad morzem. Od tego czasu rozbudowa portu jak i jednocześnie eksploatacja wykonanych nadbrzeży osiąga z każdym rokiem nadzwyczajne rezultaty, stawiając port gdyński na czele wszystkich, nawet o wiele starszych portów nadbałtyckich, tak, że obecnie port nasz znajduje się na 4-tym miejscu w Europie a na 25-tym w świecie. Wybrane pod budowę portu miejsce okazało się nadzwyczaj wygodne, ponieważ od południa, zachodu i północy jest osłonięte od wiatrów pasmami wzgórz a od morza półwyspem helskim chro-

niącym port od wiatrów i fal pełnego morza. Wiatry wschodnie, lub południowo-wschodnie od strony nieosłoniętej, zazwyczaj nie są groźne. Dzięki temu postój statków w porcie czy na redzie jest w każdej porę roku dogodny i bezpieczny. Port gdyński należy do niezamarzających i wyjątkowo w czasie ostrych



zim, jak to miało miejsce w 1928-29 roku, uległ częściowemu zamarznięciu. Przeszkody te udało się usunąć przy pomocy lodolamaczy bez uszczerbku dla ruchu portowego. Dojazd do portu statków jest bardzo łatwy i nie następuje statkom żadnych trudności. Port gdyński dzieli się zasadniczo na dwie części: port wewnętrzny i zewnętrzny, które to porty łączą wspólny awantport, przez który prowadzi główne wejście od strony morza tak do portu wewnętrznego jak i zewnętrznego.

Awantport jest to miejsce wolne pomiędzy basenami a falochronami, które są przy stronie wjazdowej zakończone dwoma latarniami ostrzegawczymi. Nabrzeża buduje się najnowszym sposobem, używając w tym celu skrzyń żelazno-betonowych zwanych kesonami. Skrzynie te buduje się na lądzie w pozycji leżącej i po wykończeniu przy pomocy pogłębiarek (drag) ssących opuszcza się na wodę i holuje do miejsca, gdzie mają być ustawione. Tam zatapia się je w pozycji stojącej, wypełniając ich wnętrza piaskiem

lub żwirem. Następnie skrzynie te spaja się ogniwami żelaznymi, tworząc w ten sposób linię nadbrzeży. Mając linię nadbrzeżną utworzoną przy pomocy kesonów, tworzy się następnie mola i baseny. Wykonanie jednej takiej skrzyni kosztuje 30 — 60 tysięcy złotych. Port gdyński posiada urządzenia przeładunkowe i magazyny, odpowiadające najnowszym wymogom techniki. Mam

nadzieję — kończy wykład pan kapitan — że za kilka lat, jeżeli rozbudowa pójdzie tak szybko jak obecnie, port nasz stanie na pierwszym miejscu we wschodniej Europie.

BUDUJMY GDYNIE — WŁASNEMI SIŁAMI!

Tadeusz Kozakiewicz, III b. Gimn. 368.

Wrażenia z wycieczki w Tatry

„Jak na wycieczce dobrze było,
Filozofom się nie śniło...”

Jedziemy do Zakopanego — pociąg mknie, wreszcie widać cudne Tatry i już zajeżdżamy na stację, wysiadamy, składamy plecaki do dorożki — bo też one były ciężkie — naładowane przeróżnymi przysmakami. Idziemy do Kuźnic, a stąd szlakiem biało-niebieskim na Halę Gąsienicową, skąd widzimy ośnieżone góry, wreszcie doszliśmy do schroniska, piękny domek zbudowany z granitu otoczony skalistymi górami, samo schronisko jest komfortowo urządzone i wcale ceny nie wygórowane. Tutaj nocujemy, skąd na drugi dzień udajemy się w dalszą drogę, idziemy koło Czarne Stawu Gąsienicowego, kroczymy dalej, i już pierwsze klamry; pniemy się do góry, przez Nowy Zawrat (2158) i dalej do doliny Pięciu Stawów, gdzie się posilamy.

Idziemy dalej przez Świstówkę, skąd widzimy prześliczną dolinę Roztoki, schodzimy do Morskiego Oka, prześliczne jezioro, perła jezior polodowcowych znajdujących się na terenie polskich Tatr. Nad jeziorem są wystawione dwa schroniska, w jednym z nich nocujemy, udajemy się po kolacji na wypoczynek. Po twardym śnie na łóżach madejowych, budzimy się i o zgrozo! widzimy szczyty otulone mgłami, słyszymy krzyk rozpacz, że deszcz pada, wstajemy natychmiast i modlimy się o pogodę, modlitwa pomogła — deszcz natychmiast przestał padać i po cienkiej herbatce idziemy do Czarne Stawu, pniemy się i pniemy i nic nie widać, (bo mgły jeszcze nie ustąpiły), wreszcie P. Bóg nad nami się zlitował i słońeczko zaświeciło, w tym momencie ukazał się Czarny Staw, a nad nim królujące Rysy i inne góry. Widok był cudny, jezioro igrało przepięknymi tęczęmi barw, zaraz też dwie syreny usiadły na skale i omal jedna z nich nie postradała życia, lecz syreny bardzo się kochają, więc druga ją przytrzymała, trzeba dodać, że p. profesor syreny te utrzymywał na swoim filmie. Ze smutkiem rozstałyśmy się z tym uroczym miejscem, wróciłyśmy do schroniska, skąd po decyzji, udałyśmy się przez Miedziane do doliny Pięciu Stawów. Po drodze były piękne widoki, mgły się wznosiły i zakrywały obnażone skały, to znowu opadały i zwiły się nadając przez to urok gór. Myli się ten, kto mówi, że gdy mgły okrywają góry, to niema widoków, bo gdy się wejdzie w serce gór i zobaczy się w takiej chwili Tatry, to dopatrzy się czegoś pięknego — tajemniczego...

Po trudnej przeprawie przez Miedziane, schodzimy na dół do schroniska przy Pięciu Stawach. Śliczne schronisko i z zewnątrz i wewnątrz ładnie urządzone.

Po chwilowym odpoczynku, dążymy do Siklawy; woda huczy, pieni się, porywa za sobą skały i dolinę Roztoki płynie.

Po powrocie zjadamy smaczną kolację — zupę pomidorową — ach! jaka była znakomita — niektórzy

brali aż repety. Po tak smacznej kolacji urządzamy dancing, w międzyczasie „nasza poetka” stworzyła



„Wracamy z wycieczek...”

piosenkę na temat naszej wycieczki, wreszcie udajemy się spać. Na drugi dzień wstajemy, lecz jakże smutny widok nam się przedstawia, — deszcz pada! Chętnie chcąc musimy zmienić plan wycieczki, nie idziemy przez Czechosłowację lecz wracamy przez Stary Zawrat, piargami zsuwamy się na dół, a kamienie lecą za nami; przeszliśmy pierwsze klamry i już widać Halę Gąsienicową, zdala dolatuje nas smak obiadu, biegniemy prędko do schroniska — zjadamy obiad, po którym idziemy doliną Jaworzynki do Zakopanego. W Kuźnicach złapał nas okropny deszcz — my jednak nie straciłyśmy humoru. Już Zakopane: udajemy się do schroniska im. ks. Stolarczyka, tutaj kupujemy sobie pamiątki — rzeźby zakopiańskie, wieczorem zaś urządzamy wspaniałą bankiet. Na drugi dzień rano o 7-mej godz. wyjeżdżamy ze Zakopanego, żegnając z bólem serca i ze łzami w oku ukochane, piękne Tatry z postanowieniem, że wkrótce je odwiedzimy. Z wycieczki tej mamy blisko 120 zdjęć, które dokonywał P. Profesor. Ciekawem było jeszcze to w wycieczce, że każda

dostała pewien odcinek, który musiała przestudjować z mapą i przewodnikiem w ręku i następnie z dumą bawiła się w przewodnika.

Niechaj każdy spieszy zobaczyć Tatry, bo przez

to samo pozna, że i nasze polskie góry, są cudne i pełne uroku!! —

Janina Kitajgrodzka, Kars V. Sem. Naucz. Żeńsk.



Święto Gór

Największą atrakcją tegorocznego sezonu letniego w Zakopanem było bezsprzecznie „Święto Gór“, trwające od 4-11 sierpnia 1935. Projekt zorganizowania tego święta wyłonił się w ubiegłym roku, jednak spowodu powodzi, święto to do skutku dojść nie mogło. Główny Komitet „Święta Gór“ w porozumieniu się z Ligą Popierania Turystyki, organizując to święto, miał przede wszystkim na celu umożliwienie szerszym rzeszom społeczeństwa zwiedzania pięknego a nie wszystkim znanego zakątka naszej ziemi, jakim są Tatry.

W tym celu wydano karty uczestnictwa, uprawniające do uzyskania ulgi przejazdowej do Zakopanego, zaś spowrotem do bezpłatnego powrotu do miejsca pierwotnego wyjazdu, oraz dające możność zwiedzania bezpłatnie wystaw i widowisk, urządzanych na wolnym powietrzu. Warunki więc były stosunkowo przystępne. Jak wielką frekwencją cieszyło się „Święto Gór“ świadczy fakt, że do Zakopanego zjechało około 25 tys. gości, nie tylko naszych, ale i zagranicznych.

Zakopane na przeciąg trwania święta przybrało uroczystą i piękną szatę. Wieczorem ulice: Kościuszki, Krupówki oraz droga prowadząca na Wilcznik, były wspaniale iluminowane. Większe gmachy jak n. p. kościół, budynek pocztowy i gmach wystawy na Wilczniku, były wspaniale oświetlane reflektorami.

Sam program „Święta Gór“ był bardzo bogaty i uroczysty. Jednym z głównych punktów programu były wieczornice poszczególnych grup regionalnych, urządzane na Małym Stadjonie, bądź też w sali Sokoła. Z pośród grup regionalnych wybiły się na czołowe miejsce grupy: podegrodzka i łemkowska z Nowego Sącza. Na pozostałe punkty programu składały się: odczyty regionalne, wystawy, wczieczki w Tatry, urządzane przez P. T. T., koncerty orkiestr, między innymi i orkiestry 1 p. s. p. z N. Sącza i t. d. Punktem kulminacyjnym programu była opera „Halka“, odegra-

na przez artystów opery warszawskiej z Wermińską (znaną zresztą młodzieży tutejszej), Mossakowskim, Mossoczym i Gorajem i innymi.

Na pierwszym przedstawieniu było około 10 tys. widzów, a na żądanie publiczności grano 2 razy.

W ostatnim dniu „Święta Gór“ t. j. w sobotę 11 VIII, w dniu przyjazdu p. Prezydenta R. P., który raczył objąć Honorowy Protektorat „Święta Gór“, pogoda zawiodła i uraczyła Zakopane całodziwnym deszczem.

Nie przeszkodziło to jednak masom publiczności przybyć do Jaszczurówki, gdzie miała się odbyć końcowa uroczystość. Na program złożyły się: powitanie p. Prezydenta, msza św., kazanie ks. J. Humpoli, przemówienie gen. Galicy a wreszcie defilada grup regionalnych przed p. Prezydentem, która zarazem zakończyła uroczystość. Z nastaniem zmierzchu wytrysnęły na niebo różnokolorowe snopy reflektorów, które następnie skierowano na Giewont, wyjątkowo dnia tego zachmurzony, może dlatego, że przyszło mu żegnać już gości, którzy zjechali na pierwsze „Święto Gór“, aby przyczynić się do uświetnienia ich majestatu i potęgę i piękna.

Tad. Mendelowski, kl. VI a 368.

Niezwykły jubileusz

Niemal każdego dnia wyrusza mnóstwo wycieczek do Tatr, aby podziwiać ich piękno. Niektórym osobom wystarczy tylko jeden raz tam być i nie pragną je więcej oglądać, ale są znowu i tacy, którzy każdego roku idą w te piękne góry i za każdym razem znajdują je coraz piękniejsze. Taką osobą, która nad wszystko ukochała góry — naturę, jest nasz Czcigodny i Drogi p. prof. Rapf. Rokrocznie organizuje wycieczki i zachęca młodzież do wzięcia w nich udziału.

W tym roku wyruszył na czele małej gromadki, do Tatr, prowadząc utartym szlakiem z Zakopanego

przez Halę Gąsienicową na Zawrat i to właśnie święcił Szanowny taternik swój jubileusz. Dwudziesty piąty raz przekracza tą przełęcz.

Gdy znalazłyśmy się na grani Zawratu, gromadka uczyniła wielki krzyk, aż turyści inni spieszyli myśląc, że może jaki wypadek się zdarzył, lecz nie — to my z radości, że jesteśmy na przełęczy, z Panem Profesorem, który obchodzi tak niezwykły jubileusz, uczyniłyśmy taką owację, poczem dwie uczestniczki wycieczki złożyły gratulacje, życząc ażeby pięćdziesięciokrotny jubileusz obchodził z nami. Ponieważ uczestniczki wycieczki były przeważnie harcerkami, więc toastów

nie wznoszono, ale i bez wina miałyśmy świetny humor, na zakończenie zaśpiewano „Sto lat“ z tem, ażeby P. Profesor żył jaknajdłużej dla Tatr i Zawratu, poczem przygodny znajomy turysta dokonał zdjęcia całej wycieczki. Lecz nie na tem koniec; jak uroczystość, to uroczystość. W drodze powrotnej w Zakopanem urządziliśmy wspaniały bankiet na cześć Jubilata, podczas bankietu wręczono P. Profesorowi pamiątkowy album i wiązanek purpurowych kwiatów.

Wieczór ten spędziłyśmy bardzo mile i będzie on na długie lata miłym wspomnieniem!

Janina Kitajgrodzka, kurs V. S. N. Ż.

Pejsaż ze Złotego Rogu

(I. Meczet sułtana Ejuba.)

Zeszedłem ze stopni motorówki i zagłębiłem się w ciasne uliczki Istambułu. Objęty z dwóch stron drewnianymi ścianami nawpół walących się domów o zakratowanych oknach, szedłem z moimi towarzyszami naprzód. Słońce kończyło już swój bieg na firmamencie, a boski woźnica odprowadzał już konie do stajni na wypoczynek, gdy my potykając się o źle wybrukowane trotuary, spieszyliśmy zwiedzić meczet sułtana Ejuba. Dostyc często przechodziliśmy obok opuszczonych, smutnych meczetów, bez dachów, mchem porośniętych, z poza których wyzierały resztki misternych arabesk, jakgdyby fantastyczne wycinanki ze starego, pożółkłego papieru. Przy każdym z takich meczetów znajdował się mały cmentarzyk, okolony wysokim murem, a tajemnice jego odsłaniały otwory, znajdujące się na wysokości około jednego metra.

Wśród ciszy i spokoju stanęliśmy przed meczetem Ejuba. Wejście do meczetu prowadziło przez dwa dziedzińce. Pierwszy niezbyt wielki, pełen bocianów, gołębi i bawiących się dzieci, krył się pod cieniem olbrzymiego klonu o potężnych, rosochatych konarach. Na uboczu tuliło się cicho kilka opuszczonych grobów.

Przeszliśmy do drugiego dziedzińca. Tu w przeciwieństwie do pierwszego panowała poważna, pełna mistycznego uroku cisza. W środku dwa przeszło czterowiekowe klony, których potężne konary zakrywały na kształt dachu cały niemal dziedziniec tak, że żaden promień słońca nie przedarł się do jego wnętrza. Stały tu, jak pomniki świetnej przeszłości sułtanów, stały smutne, opuszczone, z popękana od starości korą. Ponura ciemność dodawała powagi świętemu miejscu, a powyginane dziwnie gałęzie drzew szczerze przylegały do ścian meczetu, wykładanych płytkami pięknej, wzorzystej ceramiki w niebieskim kolorze o jednym odcieniu.

Wchodzimy do środka meczetu. Naprzeciw wejścia uderza pięknoscia i lekkością architektoniczną ołtarz umieszczony w ścianie meczetu o jednej strzelistej arkadzie. Ze sufitu zwisały kandelabry, a w ich ramionach mieściły się lampki oliwne, które w wieczornych godzinach oświecały meczet. Ściany pomalowane we wzorzyste ornamenty utrzymane były w żółtym tonie. Nad ołtarzem dwa małe okienka wpuszczały nagle światło do wnętrza świątyni. Garstka Turków rozrzucona po wszystkich kątach odprawiała swoją wieczorną modlitwę, powtarzając słowa kapłana,

który przeciągając każdą głoskę I, modlił się do Allacha. Co chwila pochylały się zamodlone twarze w karnym poklonie.

Opuściliśmy meczet z postanowieniem obejrzenia pięknego cmentarza, położonego opodal. Cmentarz leżał na stoku wysokiej góry, na której szczyt prowadziła wąska i kręta dróżka. Przed oczyma przewijały się liczne groby mężczyzn i kobiet, położone tarasowo na spadającym stromym stoku. Groby mężczyzn różniły się widocznie od grobów kobiet, pierwsze kończyły się kapitelem naksztalt turbanu, albo fezu, drugie natomiast zdobiły kapitele wieńczone ornamentami kwiatów.

Niektóre groby szare, opuszczone chyliły się już ku ziemi, a niektóre całkiem nowe z łańskimi napisami bieleły się na podmurowanych tarasach.

Cały las białych, kamiennych słupów z niezrozumiałymi znakami rozciągał się przed nami. Od czasu do czasu przy jakimś cichym grobie strzelała w górę czarna sylweta cyprysu, to znów jakiś karłowaty, niepozorny cedr nieśmiało wzywał z ukrycia. Cisza i spokój rozciągały tu swoje panowanie. Doszliśmy wreszcie na szczyt góry, skąd w dalekim horyzoncie zarysował się przepiękny widok na Istambuł. Naokoło rozciągały się góry pełne starych opuszczonych cmentarzy, których nagrobki bieleły się w słońcu, jak kości szkieletów. Góry te tworzyły coś, jakgdyby naksztalt kotła, na dnie którego palił się w ogniu zachodzącego słońca Istambuł, serce Orientu. W środku lśniła się niebieska wstęga Złotego Rogu, która jak ostry nóż przerzynała miasto na dwie części, a następnie ostrym klinem wrzynała się głęboko w ląd.

Słońce już zaszło, gdy zeszedliśmy ze szczytu spiesząc się do motorówki, która dała znak, że wkrótce odbije od brzegu.

Bronisław Baral, kl. VI a gimn. 368.

L. O. P. P. to potęga państwa.

Zapisujcie się na członków tej organizacji.



Do Was

— Nim wieś, siebie samych o wsi musimy nauczać. Nim z pierwiastków kultury regionalnej będziemy stwarzać kulturę narodową, musimy te pierwiastki dokładnie poznać.

(Orkan.)

Kierując się temi prawdami, stwarzamy obecnie w ramach „Koła Miłośników Podhala” „Gromadę Przyjaciół” w odróżnieniu od „grupy” pracowników wykonującej pełne cele Koła.

Śpieszę wyjaśnić istotę i cele takiej gromady. Cele K. M. P. wymagają pracy konkretnej społeczno-kulturalnej na rzecz wsi lub na rzecz kultury narodowej. Dlatego niektórzy nie mogą sprostać wymaganiom, zrażali się. Szczególnie koledzy z niższych klas.

Obecnie stwarzamy gromadę o odmiennym programie łatwiejszym do wykonania, lecz wspólnych celach jakim jest urobienie prawdziwego Miłośnika Podhala, widzącego w jego kulturze czynnik odrodzieńcy kultury narodowej i pracującego nad podnie-

sieniem poziomu społeczno-kulturalnego jego ludu ze względu na dobro Polski.

O ile „grupa pracowników” odpowiada młodzieży klas powyższych [przyszłego liceum] o tyle Gromada Przyjaciół będzie wiązała się z niższymi klasami (przyszłym Gimnazjum i jego instytucjami).

Koledzy! Szczególnie wy młodzi!

Stoi przed wami otworem organizacja przez którą zapoznacie się z przyległym pięknym światem podhalańskiej kultury ludowej, z pieśnią, gwarą, tańcem, obyczajami, wierzeniami, zdobnictwem i t. d. Zapoznacie się również z samym życiem ludu, z jego walką o byt i zajęciami. A wy, którzyście stamtąd wyszli, nauczycie się patrzeć należycie na swe środowisko i je oceniać. Środkami pracy będą: pogadanki, referaty, wycieczki, śpiewy, zwiedzanie muzeów i w miarę sił wykonywanie pewnych prac zmierzających do celów Koła.

Komu z Was młodych nie jest to wszystko obojętne, niech przyjdzie na zebranie organizacyjne, którego termin zostanie podany do wiadomości w poszczególnych zakładach.

Zarząd K. M. P.

Z nami

— Wiecie wy, u nas w Jurgowie nie są takie złe ludzie, to was wsensy przenocują, haj! Boże was prowadź! —

— I was gazdo... — odrzekłem, zadowolony z udzielonych nam informacji. Schodzimy ku Jurgowu. Hań Tatry płoną zorzą zachodu dumne, jak młodość. Dusze nam wypełzały przez oczy i czepiały się swemi ramionami turni... albo nie! Przez oczy pchały nam się do dusz turnie, uzmysłowanie potęgi, rozżarzone wirchy, co to budzą uczucia miłości jakiejś, nie miłości, nieuchwytnego szczęścia.

Już Anioł Pański skończyły bić dzwony i ostatnie ich echa wśród dolin pomarły, gdyśmy się rozkwatowali u Wojtka (jak mu na przewisko, to jego rzecz.)

Małe światło lampy przesiąkało miedzianem światłem w głąb wieczornej ciemni, która zaległa małą izdebkę Wojtkowego domu. Gaździna przygotowywała

dla męża i córki, co mieli powrócić z pola. Zagadałem o tem i o owem, o zbiorach, polu, halach, owcach, i letnikach.

Niezwykle charakterystyczną rzeczą jest przechwalanie się letnikami w takich wsiach, jak Jurgów i przyjacielski do uciech stosunek, co może mieć wielkie znaczenie społeczne. Mówimy o dzisiejszej biedzie.

— Wiecie wy, bo to haw u nas jest teraz bieda. Nase hale są za granicami. Bieda nam jest chodzić tam. Zawdy coś tam wymyślam te Czechy.

— Co takiego wam zrobili? —

Ee, bo jak i teraz. Do dnia dziwka nase hań poprawiać perci lo bydła. Idzie niby na zarobek, a tu ci gwarzom: „Sprow se „trampki“, kie fces tu być!” Coż robić...

— No to poco tam iść za granicę? —

— A kaz pódzieme? Hań nase hale, nase gazdostwo...

W duchu przyznałem jej rację. Tam leży głębsza przyczyna. Rozdzielono po wojnie jednostkę gospodarczą, jaką jest Jurgów ze swemi halami, granicą

państwa. Hale zostały w Czechosłowacji, biedna wieś w Polsce. Sprawiedliwie! Doskonale umieją Czesi wyzyskiwać to; tanio eksportują swe trampki ze szkodą dla kultury ludowej i Państwa Polskiego.

Wspinamy się ku turni Świnicy. Pod nami dolina. Głazy i pustka. Pustka taka ogromna, zgniatająca piersi, jakaś szaro-błękitna i stalowo-szara, ogromna pustka, ale nie większa, niż w głowach tych co wartość człowieka sądzą z ubrania i gatunku perfum. Niechący straciłem kamień. Runął o jakiś występ skalny i poleciał nadół... w pustkę. Zadzwoił tam pogłazach i ze śmiechem gdzieś przepadł.

Wspinamy się. Czepiamy się występów, przylegamy do skały, to znów szybkim ruchem unosimy się wgórę. Szczyt. Cisza, milczenie. To jest mowa potęg, mowa turni. W dole błyszczą się lub czernią stawy, takie małeńkie stawki. Tam Hala Gąsienicowa zieleni się... A dalej? Jeden widok: morze olbrzymie, białe, lśniąca z zamarzłymi falami, co nie mają duszy.

W dali widać trzy wyspy: Radziejowskie Wierchy, Turbacz i Babią Górę, co patrzą w oczy Tatrom czytając wyroki dla siebie. Zresztą nie, tylko morze i morze wielkie, lśniące.

Powoli mgły poczynają się podnosić i wciskać w doliny tatrzańskie.

— Będzie deszcz — pomyślałem.

Mijamy Kasprowy Wierch. Praca wre. Niwelują teren dla budowy kolejki i schroniska. Odłamywane głazy toczą się głucho w dolinę. Niechże budują... Ja, zdaje się i tak nią nie będę jeździł.

Istotnie deszcz zaczął padać. Schodzimy w dolinę.



Deszcz zmienia się w straszną ulewę. Mgła gęsta przesłania świat. Na trzy kroki nic nie widać.

Nie mój koń, nie mój koń, a uzdecka moja
co mi ją kupiła kochanecka moja.

Ten ma humor! deszcz leje jak z cebra, a ten siedzi na gładzie, pasie owce i śpiewa.

— Dzień dobry! —

— Dej Boze... —

— Czy jest tu jakiś szpałas w dolinie? —

— Jest. Hań na dole — wskazał reka kierunek.

Możebyśmy do tego szłaś nie trafili, gdyby nas nie zaprowadziło... cię, które instynktownie biegło do stajni. Dziwne losy ludzkie. Czasem i cielęta prowadzą ludzi.

Jak nasza wycieczka skończyła się (choć miała jeszcze tysiące pięknych momentów) tak i ja zakończyć: Koniec!

A.

ZESTAWIENIE KASOWE

Administracji „Zwu Gór“, Czasopisma młodzieży w Nowym Sączu za czas od 1 II. 1934 do 26 IX. 1935 r.

Nakłady :		Przychód		Rozchód		Rozchody szczegółowo :	Złote	gr.
		Złote	gr.	Złote	gr.			
Luty (Nr. 3)	1934 r.	186	—	156	13	Druk 14-stu nakładów	1865	—
Marzec (Nr. 4)	„	275	95	162	—	Papier do Nru. 9	55	50
Kwiecień (Nr. 5)	„	267	50	216	78	Korekta i kierownictwo	160	—
Maj (Nr. 6)	„	240	25	197	63	Koszty grafiki	146	81
Wrzesień	„	3	50	24	10	Koszty administracyjne	82	46
Październik (Nr. 7)	„	251	75	182	57	Nagrody konkursowe	41	—
Listopad (Nr. 8)	„	281	—	173	24	Szycie Nru. 9-go	10	—
Grudzień (Nr. 9)	„	290	75	359	26	Podróże	39	30
Luty (Nr. 10)	1935 r.	219	05	193	50	Portorja	30	54
Marzec (Nr. 11)	„	216	65	180	05			
Kwiecień (Nr. 12)	„	216	—	178	75			
Maj (Nr. 13)	„	234	50	187	80			
Czerwiec (Nr. 14)	„	217	40	218	80			
Razem		2900	30	2430	61			



POEZJE

Władysława Szkaradkówna kl. VII gim. SS. Niep.

Tęsknota

Ponad brzegiem przepaści,
jak na krańcu żywota,
zatrzymała się ludzka,
bezgraniczna tęsknota
i spogląda wdal.

Fałd jej sukni się czepia,
drżącemi dłońmi dwiema,
jakby chciał coś zatrzymać,
czego dawno już nie ma —
rozetkały żal.

Ktoś tam tęskni za wiosną,
Ktoś się żali — i poco?
zwiędłe liście na drzewach
drżą i z wiatrem dygocą,
rozwiąły się sny.

Idzie jesień po polach,
idzie jesień po chatach,
drżącą ręką rozpina,
włókna „babiego lata“ —
pocóż próżne łzy...

Spływa smutek z obłoków,
tłumiąc sobą wesele,
mgłą spowija te serca,
co marzyły za wiele
i rwały się wdal...

A gdzieś z boku na straży
łez mych, stoi i płota
bezgraniczna, ma wielką,
niezgåębiona tęsknota —
tak mi czegoś żal...

Taddusz Stefaniszyn.

Opuszczone groby

W karny szereg lat — doby spieszą i miesiące
popod nocą gwieździsta parada
niebo — pochyłością bez tchu może upaść
czasem — makom się śni krew na łące —
kiedy karabin modlił się ognistym różańcem
grzmiały paszcze armat
wznosiły się jak fale śmiertelne szafice
zygzakiem wzdłuż Polski front nad Wisłą biegł
były ostatnie strzały — liście sypały się z drzew
dni przewalały się wpoprzek, wtargnęły i zaryły się w śnieg
wicher płynie po polach twardym lamentem
nad Kurhanami zapłaczę tak żalnie —
poszumy jesienne w strzepy pocięte!
mroki wieczorne urosły jak puszcze —
marsz — ciężki krok — prędki krok — bezwzględnie
wszędzie wieczorniały plamy. Krzyże, kopuły,
dzwonnice, uschłe nagrobki —
zbutwiały krzyże rozwińcie się w zieleń!
a wiatr przybłąkany z szarej przeszłości,
opowie o naszych czynach
dniom wczorajszym i jutrzejszym ceniom.

Roman Chruślicki, kl. VIII Gimn. II

Deszcz o północy...

Północ!...
W mieście na lampach siedzi wiatr
i gwizda — — — w Noc!
We mgle stęskniona drzemie Siła,
We mgle zakłęta drzemie Moc!
W mieście na lampach siedzi wiatr,
gwizda i jęczy... wiatr, uliczny wieszcz —
pogasił lampy. afisze zdarł... i patrzy, jak pada
deszcz...

... mży... ścieka z dachów, rynien i drzew...
u piwnic się podziewa gdzieś...

szmerem po bruku się spowiada,
jakiś przesmutny smęci śpiew
i jakąś dziwną skomli pieśń — — —

Na dachy i ulice deszcz północą pada
i marzy szmerem, jak samotny wieszcz :
z swej bezsenności się spowiada,
w kościele drzew się modli
d e s z c z...

A ludzie już spać się pokładli,
zasnęli zmęczeni i śpią...!

— — — — —
... a ktoś ulicami szedł...
ktoś błądził po mieście...
ktoś... o którym ci śpiący nie zgadli
i nie spodziewali się, że przyjdzie ON.
bo szedł z deszczem, w nim...
za... czy przed...

Tylko, że na dzwonnicy bliskiego kościoła
zaszemrał senny dzwon —
gdy szedł...
zaszemrał... zbudził się, choć go nikt nie wołał...

Tylko, że drzewa się zamodliły
odarte z liści, co się męczyły na ulicy,
drzewa wierzące —
patrzyły w niego...
za... czy przed...

Zabłyśły oczy smutne,
kochające...
i szedł!

— — — — —
Włóczęga, jak wiatr... ja wieszcz
moich smutnych oczu,
szedłem o północy
w d e s z c z...

Roman Chruślicki, kl. VIII Gimn. II

Włóczęga słoneczna

N O W E L A

Matuś... Matuś...

Patrzyła w okno, w słońce, co zachodziło właśnie i przypominało czerwienią o szczęściu... Na kominie płomień przygasał zwolna, cisza się kładła razem z mrokiem na ściany i sprzęty — na podłodze się rozścielała wilgotna. Tylko obrazy patrzyły na środek izby bezmyślne i poważne przerażeniami oczyma ostatniej czerwieni słonecznej, co się w oknie rozmarzyła blaskiem...

— Matuś...! Ból mu się rwał w piersi ogromny, tłoczył go i dławił... krzyk mu się w piersi rodził, ale na ustach marł świszczący. Na kolanach jej swą głowę wsparł, by nie czuć i nie myśleć o tem, co tak boli... tak boli!

A słońce czerwienią się krwawiło na środku izby, na kredens przyczajony w mroku poszło prześladać się w szybkach kolorowych, aż wreszcie poczęło grać tęczą w ciszy i w spływającym ze ścian i obrazów mroku cicho... cichutko, jakby się ktoś modlił... Klęczał dotąd. Obawiał się powstać, by na promienie nie nastąpić, by złotych promieni na izbie nie zdeptać, bo mu się wydało, że krzyczeć będą rozpacznie, zresztą czuł, że klęczeć powinien do końca. Pierwszy raz widział śmierć i wydała mu się jakąś dziwną, taką cichą i senną, bez krzyku i skarg, jakąś tak błogosławioną, jak ta noc, co szła razem ze świadomością, że to już przecież koniec! Wtedy ciszą się poił i tem graniem na tęczy słonecznem, zapadając w jakiś półsen kołyszący i dziwny. Zasypiał...

— Synuś...

Pogładziła go z wysileniem po złotych włosach, co mu na ramiona spadały. Przebudził się. Patrzył począł na nią, bo mu się jakąś inną wydała w tem słońcu. Spowitą była w promienie, jak w precudowny płaszcz rozżarzonych iskieł, w blasku grały tęcze kolorowe i na twarzy się jej kładły modlitewnem graniem... Przytulił swoje spieczone gorączką wargi do jej rąk i trwał.

A u komina, co gasł zmęczony krzykiem ostatnich mdlejących płomieni, milczenie siadło szare i jakieś takie smutne, takie smutne — i poczęło wśród nagromadzonych drzew szeleścić, jakby przypominało, że płomień mrze. A w sieni samotność się tłukła rozpaczliwie — w drzwi się pchała, lub wybiegała na pole, by do szyb przywierać mętными oczyma, w modlitwie o przyjęcie do chaty na noc.

W słońcu, co na izbie się walało złotem, ułożył się czarny krzyż okiennic i mówił i wołał. — Zrozumiał. Wstał i ku oknu szedł, za nim. Cień się kładł na podłodze i czepiał się rozrzuconego w prochu złotego klejnotu i szli tak razem ku oknu — w Krzyż! Wreszcie okiennice pchnął nazewnątrz, czując, że uczynić to musi. Chciał zapomnieć o śmierci, co się czała może już w sieni i ze samotnością się tłukła i mrokiem patrzyła do izby przez szpary. Czuł jakiś ból ogromny w piersi, który się szarpał w nim, rozsadał żebra i szlochał wewnętrznym łkaniem. Na oknie się wsparł i patrzył... patrzył... bo przed nim wlokła się proga słoneczna w drzewach... od chaty droga szła w przestrzeń gdzieś, tak daleko, daleko w słońce, w błękit, w rozmarzenie sennych drzew, wśród liści, co spadały z jękiem rozpaczonym, jak złoty deszcz słoneczny... od chaty droga się wlokła gdzieś w cały, cały świat i kończyła się w słonecznym blasku gdzie tylko serce doleci i pieśni...

— Synuś... wołała.

Rzucił się do jej stóp i modlić się począł o słowa.

— Matuś... Matuś...

— Słyszysz... tam w sieni... on... idzie, drzwi otwórz, otwórz. — — —

— Idzie kto, matuś...? pytał...

— W sieni czeka gość, synku... gość czeka wysilony włóczęgą słoneczną, wraca, do mnie wraca, dziś, czemu dziś...? tak późno... tak późno...

Spojrzał na nią i widział ból, co nią szarpał i widział szaleństwo agonji w oczach — zrozumiał

Nieprzytomnie mówiła i słowa się modliły u obrazów co ze ścian patrzyły przerażonemi oczyma ostatnich promieni słonecznych.—

— Gość przyszedł... dziwny gość. kochany i bliski... u progu czeka milczący, aż wyjdę cierpliwie czeka, choć z włóczęgi powraca zmęczony — pielgrzym... a mnie ciężko tak do drzwi iść — i na niego patrzeć... patrzeć. Tyle lat...! synuś... drzwi otwórz, otwórz drzwi i do izby proś, niech wejdzie... na noc. Tyle lat... na włóczęgę słoneczną szedł prawie jak dziś — tak jak dziś... o zachodzie... kiedy w chacie było źle, tak źle — wiesz synuś... ojciec. —

On wie. Pamięta. Jak dziś... pod wieczór, tą drogą, od chaty ojciec wyszedł na włóczęgę — bo w chacie nędza siadła u drzwi i okien, zęby szczyrzyła i dzwoniła zębami z zimna i głodu... Tyle lat!... Ale wie także, że o ojcu zaginął wszelaki ślad już dawno... Tylko, że on to tak pamięta, chociaż sześciu lat nie skończył jeszcze, jak ojciec w słońce wyszedł i przepadł! Nie może sobie tylko przypomnieć jak to było dawno... może już z dziesięć lat — dawno tak..

— Synuś... co to za oknem tak szeleści — tak szumi... pytała. Co to syneczku...?

— Za oknem...?

Widział liści złoty deszcz, co z jękiem ścieliły się na słonecznej drodze, jakby pod stopy komuś, co miał może przyjść, czy odejść... jakby na powrót czyjś kolorowa tęcza się na drodze rozprędała u drzew, co zamierały zwolna ciche i smutne, płaczące — Jesień była...

— Liście, matuś, szeleszczą, liście szumią — do okna przyszły ze słońcem razem...

— Liście... przyszły po mnie... i drogę mi ścielą... w słońce pójdę po liściach, co ze mną zmarły razem zmęczone... Widzisz, synuś... jak do oka się pchają drzewa — wszystkie, jak w procesji chorągwie u kościółków... chorągwie — po mnie przyszły i ze mną pójdą... bo już zimno... zimno tak — — —!

Fatrzył. A drzewa rzeczywiście jakoś do okna się zbliżyły, do okna podeszły półnagie, smutne i szeptały coś... jakby modlitwę za konających... Już nie bał się śmierci, co z drzew się wywlokła i ku chacie szła, ale strach go ogarniał na myśl o samotności, która coraz śmielej do wnętrza się ciska, straszna...

Matuś... a drzewa wrócą z wiosną...! do mnie, bo ja będę taki sam... taki sam... aż strach!

— Wrócą drzewa... ze słońcem wrócą tą drogą... tam... co od chaty się wlecze w cały świat — tylko że ja już tam pozostanę... i czekać będę... i tęsknić...

Ale ty sam nie zostaniesz... o nie... wiesz, tam... w słońcu jasnym, na drodze dalekiej gość się pojawił i ku chacie idzie... ku chacie dąży... z włóczęgi słonecznej powraca. —

Nie uwierzył i było mu smutno — tak smutno... I znowu się cisza rozprędała po izbie, i znowu milczenie poczęło się u komina przypominać, na którym płomień zgasił. Czas się wlec zaczął i sądzić każdą chwilę bliższą do końca...

— Tam... na ścianie... na mnie Chrystus patrzy... Wstał. Krucyfiks ze ściany zdjął i na łóżku jej położył. Ukląkł. Mówiła...

— Idzie już... do mnie idzie po liściach... ale nie zdąży... nie... ja odchodzę... bo przed nocą trza mi z chaty wyjść — w słońce iść — on wraca... to go spotkam i powiem o tobie, synku. —

Płakał cicho.

— Słyszysz...? na spotkanie mu wyjdę... bo z włóczęgi słonecznej powraca — a mnie iść już trza, by zdążyć przed nocą — idę już — w drzewa — w liście, które pójdą ze mną — w słońce na drogę podniebną... a on już wraca... ale nie zdąży — Jezu!... Porwał się — do ust jej ręce przycisnął — z piersi mu się szloch wydarł, na złoto słoneczne się osunął i płakał...

... a ze słońca ktoś szedł po drodze... i liście go zwiędłe witały i mówiły mu coś... jakąś wieść... jakieś słowa... i drzewa jakby za nim szły... i droga go złota ku chacie wiodła...

...a cień jego naprzód się wyrwał i ku chacie biegł, długi, coraz dłuższy, jakby chciał progu coprędejsz dosięgnąć — i spocząć!

... ku chacie ktoś szedł i łzy miał w oczach, a w sercu tęsknotę ogromną z wielu... z wielu lat...

Słońce gasło...

Wrócił ktoś... jakiś gość dziwny, do izby wszedł u łóżka ukląkł. Po wielu latach powrócił, jak szczęście zgubione powraca po drodze tęczowej z włóczęgi słonecznej.

Redakcja „Zwu Gór“ ogłasza Konkurs fotograficzny!

Zdjęcia muszą być oryginalne, unikające wymuszonej i banalności.

Zdjęcia nadsyłać do Redakcji z podaniem rodzaju aparatu i czasu zdjęcia.

Pierwszą nagrodę umieścimy w Zwie Gór.

Klisze każdego zdjęcia należy zatrzymać, ponieważ zdobywający I-szą nagrodę musi ją przedłożyć.

Koledzy! Koleżadki! Macie pole do popisu!

Czas nadsyłania upływa z dniem 1-go grudnia 1935.

Redakcja „Zwu Gór“

ogłasza niniejszem

KONKURS

na nowelę. Tematu nie narzucamy.

Ilość wierszy nie powinna przekraczać 500.

Jako pierwszą nagrodę Redakcja wyznacza 30 zł.; drugą nagrodę 20 zł.

Skład sądu konkursowego, zostanie podany w nast. numerze.

Termin nadsyłania prac upływa dnia 15. listopada. Pracę należy podpisać godłem, a nazwisko i imię dołączyć w zamkniętej kopercie, podpisanej tem samem godłem, jakim nowela.

Do konkursu mogą stawać tylko uczn. szkół średn. Koledzy! Koleżanki! Pomyślcie o fortunie, jaka Was czeka! Zamaczajcie pióra i do dzieła!



Sprawozdanie polityczne

za okres od 1 — 15 września 1935 r.

Sprawozdanie odczytane na zebraniu Koła „Historyczno-Społecznego“ w Gimnazjum pierwszym.

Od dłuższego czasu cały świat zaabsorbowany jest konfliktem włosko-abisyńskim. Wszelkie sprawy inne, nieraz niezmierniej wagi zeszły na plan dalszy, wobec tej sprawy, w którą wmieszana jest Abisynja, kraj dotychczas żadnej roli w świecie nie odgrywający.

Konflikt ten w obecnej chwili zaszedł tak daleko, że lada dzień grozi wybuchem nowej światowej pożogi. Od skromnej utarczki jakiejś bandy abisyńskiej z oddziałem włoskim wypadki potoczyły się w szybkim tempie. Obustronne wymiany not, groźby Mussoliniego, no i odwołanie się Negusa do decyzji Ligi Narodów.

Tymczasem okręty włoskie bez przerwy przewożą tysiące żołnierzy do włoskiego Somali. Mussolini ufny, że związana z nim niedawnym przymierzem Francja nie będzie mu robiła przeszkód w zajęciu tego kraiku, o powierzchni trzy razy większej niż Polska, z drugiej strony widząc, że Anglja początkowo nie chce na jego zamiary zwracać uwagi, postępował zbyt agresywnie i za daleko zaszedł.

Anglja nagle zmieniła swoje zapatrywanie na całą tę awanturę i stanęła w obronie Abisynji, tłómacząc to zagrożeniem swoich interesów w Egipcie i sąsiednich swych kolonjach. Śmiać się nam naprawdę chciało, gdy przeczytaliśmy w gazetach, jak to Negus podstępnie udzielił koncesji konsorcjum anglo-amerykańskiemu, na wydobywanie ropy, sprzątając z przed nosa Mussoliniemu smaczny kąsek, na który sobie tak ostrzył apetyt. Posunięcie finansisty angielskiego Ricketta było genialne, Mussolini nie miał już co robić w Abisynji, gdyż tu groził mu konflikt ze Stanami Zjednoczonymi i z Anglją, cóż kiedy pod presją rządu U. S. A., chcące być neutralną w zatargach europejskich, kapitał USA. wycofał się z tego konsorcjum, a koncesję unieważniono.

Anglja jednak teraz otwarcie się wypowiedziała. Deklaracja Hoare'a w Lidze Narodów wywołała ogólnie

ne zadowolenie, oczywiście z wyjątkiem Włoch.

Cała Europa w tej niebezpiecznej sprawie, darzą swą sympatją Abisynję; potępiając militarystyczne dążenia Mussoliniego, grożące wybuchem wojny nie tylko na Czarnym Lądzie, ale także w Europie. Mussolini zapędził się za daleko; wojska opuszczające kraj z entuzjazmem wsiadają na okręty, lecz naród nie podziela tego entuzjazmu. W kraju panuje przygnębienie, powodu niedwuznacznych dążeń Mussoliniego do rozpętania zawieruchy wojennej. I kto wie, czy ten konflikt nie będzie powodem zmierzchu gwiazdy Wodza? Mussolini jest w obecnej chwili [jak to się u nas mówi] w kropce, dalsza agresywność narazi go na sankcje i będzie miał do czynienia z całą Europą. Odwrót i przyjęcie kompromisu, poniżyłaby go w oczach Włochów zupełnie, straciłby mimo wielkości i włoskiej dumy.

Na odwrót zresztą zapóźno, na wszelkie bowiem propozycje kompromisowe delegaci włoscy odpowiedzieli lekceważąco, zamiast chwycić się nogami, rękami nadarżające się wyjście z przykrej sytuacji.

Cała ta sprawa w tej chwili przedstawia się następująco: Mussolini jest odosobniony w Europie, zmobilizował kilka roczników, w Erytreji i Libji skoncentrował kilkaset tysięcy wojska. Liga Narodów radzi: wybrany komitet pięciu szuka formuły kompromisowej, nie urażającej ani Włoch ani Abisynji.

Anglja tymczasem zgromadziła 150 okrętów wojennych na morzu Śródziemnym, zamknęła Gibraltar, odmówiła kredytu Włochom, skoncentrowała wojsko w Egipcie, na terenie Ligi zyskała sobie sojusznika Francję, która zresztą bardzo dyplomatycznie przez swego premiera Laval'a wypowiedziała się za utrzymaniem pokoju, nie zrywając jednak sympatii z Włochami. W rękach Anglii i Francji i wogóle wszystkich sprzyjających pokojowi znajduje się groźna broń: prawa sankcyj. Prawo to nakazuje zerwanie stosunków handlowych i finansowych z państwem, któreby nie uznawszy rozstrzygnięć Rady Ligi, lub trybunału w Hadze, parta do wojny. Dalej brzmi tak, że siłami

międzynarodowemi ma być na takim państwie wymuszony posłuch i poszanowanie zobowiązań. Właściwie te sankcje powinny były być dawno zastosowane, już wtedy, gdy Włochy otwarcie zaczęły grozić, lecz wajemna nieufność Koalicji do tego nie dopuściła i doprowadziła do tego, że konflikt jest naprawdę zaostrzony.

W związku z konfliktem daje się zauważyć fakt, że Liga Narodów zaczyna odzyskiwać swoje dawne znaczenie; zawdzięcza to otwartym i jasnym wypowiedziom się Laval'a i Hoare'a, którzy na Radę Ligi przenieśli punkt ciężkości: rozwiązanie kwestji abisyńskiej, a zaprzestali paktów i porozumień zaocznych.

W komisji pięciu, obradującej nad sposobami rozwiązania kwestji abisyńskiej, obok delegatów Anglii, Francji, Hiszpanji i Turcji znalazł się nasz delegat min. Beck. Komisja pięciu ma bardzo trudne zadanie: wszelkie formuły kompromisowe odrzucają lekceważąco Włochy, a mowy nie może być o odroczeniu załatwienia sprawy, jak o tem początkowo myślano; z powodu przyspieszonych działań wojennych.

Polska prócz udziału w komisji pięciu była w Genewie zaangażowana jeszcze w innej sprawie: mianowicie, upłynął termin półstałego miejsca Polski w Radzie Ligi i odbyło się głosowanie. Polska ponownie została wybrana na dalszy ciąg członkiem Rady Ligi. Podczas jednego z posiedzeń zdarzył się następujący incydent: oto min. Beck zgromił reprezentanta Z.S.S.R. Litwinowa, za słowa wypowiedziane przez niego pod adresem Polski, o jakimś jednostronnem zawieraniu sojuszków z Niemcami. Gdy Litwinow chciał odpowiedzieć, delegacja Polska opuściła salę obrad. Nawiąsem mówiąc p. Litwinow bardzo się rozpanoszył w Lidze „choć co dopiero został tam przyjęty i jest nowicjuszem, a nie wie, że może stamtąd wylecieć, gdyż wzrost propagandy bolszewickiej na świecie wywołuje w państwach wrogie usposobienie do rządów sowieckich, popierających tę propagandę. Litwinow traci powoli sympatię najwierniejszego sojusznika Laval'a.

Polska w miesiącu wrześniu stała pod znakiem wyborów do Sejmu i Senatu. Zaciekało wszystkich to, czy nowo-ułożona ordynacja wyborcza zda egzamin dojrzałości, czy okaże się dostosowana do potrzeb naszego życia. W rezultacie weszli do Sejmu ludzie, niemający nic wspólnego z partjami politycznymi, i tu spełniła ordynacja swe zadanie. W Sejmie znajdują się ludzie, którzy nie będą zupełnie zależni od nakazów partji, lecz kierujący się jedynie potrzebami ludności, która oddając głosy na nich, dawała im tem samem dowód zaufania. W skład przyszłego Sejmu wejdzie: 70 rolników, 26 urzędników, 13 adwokatów, 8 nauczycieli, 8 dziennikarzy, 7 przemysłowców, 6 kupców, 3 robotników i t. d. Skład Sejmu odpowiada więc potrzebom warstw społecznych i gospodarczych. Procent wyborców nie był wielki i wynosił przeciętnie do 47 proc., jedynie powiaty na Wileńszczyźnie i Śląsk stanęły gremjalnie do urny wyborczej, osiągając przeciętny procent 76, proc. znać więc, że agitacja opozycji, za wstrzymaniem się od obowiązku obywatela u wielu znalazła posłuch. Z okręgu wyborczego N. Sącz i N. Targ wybrani zostali posłami: Łobodziński inwalida głosów 16000 i nauczyciel Bodziony głosów 40000.

W tydzień po wyborach do Sejmu odbyły się wybory do Senatu. Wyniki: wybrano 2 ministrów, 2 generałów, 2 wojewodów, 3 byłych premierów, 15 ziemian 1 rolnik i t. d., widać z tego, że miejsca w Senacie zajmą ludzie zasłużeni, ci zaś, którzy przy

wyborach nie przeszli, zasiąść mogli w Senacie na mocy dekretu p. Prezydenta, ustanawiającego $\frac{1}{3}$ część liczby senatorów.

Chociaż premier Sławek ostro potępił agitację przedwyborczą, ponieważ ordynacja wymaga, by każdy obywatel składał głos według wewnętrznego przekonania o wartości kandydata — bez agitacji się nie obeszło.

I wiele innych wypadków, które zdarzyły się na terenie Europy, a zaćmione zostały przez konflikt abisyński, należy wymienić: śmierć królowej Belgji w katastrofie automobilowej w Szwajcarii. Polska zademonstrowała też swoje współczucie bratniemu narodowi, w nieszczęściu, które go spotkało. Jakieś fatum ciąży nad domem królewskim, już to drugi tragiczny wypadek śmierci, który tam zaszedł.

Gdy się już mówi o królach, to tu trzeba wspomnieć, że pozbawieni swych tronów w czasie wojny monarchowie, powoli, ale konsekwentnie dążą do odzyskania swych tronów. Lada dzień spodziewano się powrotu Habsburgów do Austrii i Węgier, teraz znowu grecki monarcha wraca na swój tron.

Plebiscyt ludności ma wydać ostateczną decyzję, czy król grecki wróci, czy dalej trwać będą walki domowe, jednym słowem Europa tęskni za silną władzą, ma już dość parlamentarnych rządów, które doprowadzają do wewnętrznego rozprężenia i anarchji.

Wobec potęgi mocarstw, państwa drobne łączą się, by skoordynowanemi siłami i wspólnem zgodnem wystąpieniem uzyskać sobie też głos w świecie. Obserwujemy, jak wzrasta w znaczenie i siłę blok państw „Mała Ententa“. Z jej głosem liczą się już poważnie, skoro tylko uzgodnili swe poglądy. Na północy nastąpiło teraz wspólne porozumienie państw skandynawskich: Danji, Norwegii, Szwecji i Finlandji, które bardzo zacieśniło związki, łączące te państwa. Widać, że wspólnemi siłami można dużo zdziałać.

W Norymberdze, w Niemczech odbył się zjazd kierowników i instruktorów S. S. (Schutzstaffeln) bojówek hitlerowskich. Na zjeździe było obecnych 200 000 bojowców. Kanclerz Hitler pałnął sobie wielką mowę, dając masom nowy zastrzyk entuzjazmu i zapału do pracy. Mimo potęgi zakutej w stal kilkumilionowej armji, zastrzyki takie są konieczne i to często. Podjęta na dobre walka z Kościołem nie dodaje Hitlerowi autorytetu, musi go czemś innem wzbudzać, wprawia więc w naród, że on jest warunkiem utrzymanie pokoju w Europie.

W kilka dni później wypowiada Hitler w Reichstagu groźby pod adresem Litwy, z powodu rzekomego ucisku mniejszości niemieckiej w Kłajpedzie. W małej Litwie rzeczywiście dzieją się różne rzeczy. W kłajpedzie garstka Litwinów, stanowiąca tam 20 proc. ludności chce zyskać większość w wyborach do Sejmiku; terrorem więc chce wymóc głosy na większości niemieckiej. W całym zaś kraju wybuchły na tle gospodarczem wielkie rozruchy chłopskie, co nie jest zjawiskiem odosobnionem. Rozruchy te miały miejsce niedawno we Francji, przeciw zastosowaniu obniżki cen produktów rolnych, podobnie w Danji, Jugosławji, U. S. A., Kanadzie. W Grecji doszło nawet do starć z wojskiem. Tam chodziło ludziom o rodzinę.

Czechosłowacja zawarła traktat przyjaźni z Z. S. S. R., otworzyła wrota agitacji komunistycznej. Z Czechosłowacją jest kiepsko. Wśród Słowaków nurtują coraz silniej prądy autonomiczne. Czesi wyładowują

swoją złość na Polakach. Na Śląsku czeskim panuje terror, wszelkimi sposobami chcą Czesi wynarodowić lojalnych Polaków.

W ubiegłym okresie sprawozdawczym zaszedł jeszcze jeden wypadek, który nie pozostanie bez wpływu na przyszłość. W U. S. A. ostatnio w związku z mającymi się odbyć wyborami nowego prezydenta

zaczął wybijać się Long, zwany „dyktatorem Luisiany“ głosząc nowy program uzdrowienia gospodarki w U. S. A. — wprost przeciwny Rooseweltowi. Otóż ten jegomość został ostatnio zamordowany przez fanatycznego zwolennika Roosewelta, któremu zwiększyły się szanse na ponowny wybór na prezydenta.

Jerzy Szeworski, kl. VIIa gimn. 368.

Tadeusz Stefaniszyń

POTĘGA SERC

NOWELA SPORTOWA

— Tak — potwierdziła — nie chcę cię dziś widzieć. A o jutrze porozmawiamy przy innej okazji. Dobrze Tali. Czy mogę cię odprowadzić do domu?

— Jeśli nie masz nic innego do roboty a sprawia ci to przyjemność — proszę!

— Dziękuję ci. — Spojrzała na niego z... sympatią. — Jesteś teraz na odmianę tak niezdolnie grzeczny, że krępuję się mówić ci zasłużone zresztą impertynencje.

— Ciekawym, jakby to brzmiało w twoich ustach. Spojrzała na niego poważnie dużymi jasnymi oczami. Grymasny uśmiech wypełził na jego twarz. Swoją kolosa ciałą jeszcze bardziej wyprostował. — Zachowujesz się tak, jakbyś był na ringu. Twój ton, twój uśmiech jest brutalny „znakomity bokserze!“ Rozszerzyły mu się nozdrza, błysły zęby... Opanował się. Nie patrzyła na niego.

— Zmuszasz mnie do... zarozumiałości, Tali. — Czy z tego masz być dumny? słuchaj. Czy z tego, że ojca nie chcesz znać i gardzisz nim, ponieważ go jak zbrodniarza — brutalny jesteś! Mówię ci raz drugi. — U głupich istot nie szukam satysfakcji. Oczy zmroził i zatrzęsł się cały. Odwrócił się i poszedł z Aleji Róż w kierunku Łazienek. Tali patrzyła, jak ogromna postać, szybkim nerwowym krokiem zniknęła za zakrętem. Tali posuwała się wolnym krokiem. Nie była zła na niego. Chciała mu przemówić do serca. Lecz serca on nie zna. Naprawdę dziwny się stał ten Zbyszko. Opowiadał mi kiedyś, jak postąpił z ojcem... jak można... wierzy tylko w potęgę pięści, żadnej etyki nie uznaje... ring i krew. Chciałam... właśnie ja winna... może się wróci. Stała, oglądała się. Nie było nikogo

Zbyszko od pewnego czasu w klubie nie mówi do nikogo. Przychodzi skrycie i ponury chodzi po sali. Po jakimś czasie trenuje zawzięcie. Biega, skacze, wreszcie ubiera rękawice i zaczyna właściwy trening. Błyskawicznymi ciosami obsypuje worek, masuje nos i żołądek. Do ringu nie ma partnera. Boją się go wszyscy. Jednym ciosem osadza na deski. Straszny wyraz twarzy miesza przeciwnika. Koledzy mówili między sobą — w znakomitej formie, pewno mistrzostwo zdobędzie.

Dzisiaj wcześniej wyszedł Zbyszko z treningu. Szedł Piękną, zamyślony, trącając przechodniów. Ach przepraszam panią — uchylił niedbale kapelusza... Twarz jej zdała mu się dziwnie znana. Oglądał się. Ach to przecież... Tali. Dziwnie mu się jakoś zrobiło. Nie mógł sobie tego wytłumaczyć. Zawrócił i poszedł za nią.

— Przepraszam cię Tali, kiedyś nie pożegnałem

się z tobą, więc dziś chcę 'o uczynić. Spotkały się ich oczy. — Czy odjeżdżasz gdzieś?

— Nie. Zresztą tak cię to nie interesuje.

— Mówię ci Zbyszku już może po raz setny, że boks to uosobienie brutalności, dzikości, chamstwa. Jak możesz tak bić się, rozbić głowę, jak czerep, zalać krwią przeciwnika, walczyć, jak zwierzę. Wstyd! Byłbyś napewno inny, gdybyś nie był bokserem.

— Tak byłbym innym. Nie byłbym wtenczas mężczyzną. Takim wołałabyś mię! Boks jest sportem męskim tylko, a nie — brutalnym. Przeciwnikiem moim jest nie tylko kolega, rywal, który, żądny zwycięstwa, stoi naprzeciw, ale przede wszystkim słabość własna. Przemóc zmęczenie, przemóc zwątpienie, przemóc ból, zacisnąć mocno zęby — oto czego uczą rękawice bokerskie. Walka na ringu jest rycerskim zmaganiem się, ujętem ściśle w ramy przepisów regulaminu i przepisów kurtuazji. — Nie rób mi wykładu, wszak przyszedłeś w innym celu.

— Tak. Więc żegnam... — Do zobaczenia — rzekła podając mu rękę. — Kłaniam ci się pięknie — uściśnięła jej dłoń nieco silniej, niż czynił to zwykle. Weszła do bramy. Znakomity bokser stał chwilę. Ze zdziwieniem stwierdził, że jakoś teraz nie czuje się bokserem. Podumawszy chwilę poszedł dalej. Było już późno. Przyszedł na główny dworzec.

U wejścia, na ławkach siedzieli numerowi. Jeden rzucił okiem na Zbyszka. Niósł walizki przewieszone na pasku przez plecy.

Był to starzec może 70 letni. Siwy, krzaczastymi brwiami przykrył oczy i zdawał się, że nad czemś głęboko myślał. Szedł niepewnie. Ciężar rzucał nim na boki. Słabł, spoczywał i dalej szedł, ciężko oddychając. Zobaczył go Zbyszko, lecz obojętnie przeszedł dalej. Był to jego ojciec. Ojciec wyrzucał mu złe prowadzenie. Zbyszko przyszedł pijany, wyrzucił go z domu. Matka zmarła dawno. Nie miał nikogo. Uderzył ojca, popchnął i zamknął drzwi. Wszystko przemykało mu się po głowie, lecz Zbyszko kpił sobie z ojca. Kupił gazetę, oglądał i poszedł. Ach! po co ja tu wogóle przyszedłem. Przyspieszył kroku. —

W olbrzymiej, mrocznej hali, jarzący się światłem kwadrat. Grube liny dokoła go wiążą. W mroku — tłum. Tysiące błyszczących, półprzysłomnych oczu. Tłum szmerze, pomrukuje. Atmosfera podniecenia. Tłum czeka. W kwadracie, zalanej srebrnym światłem przeszerzeni zjawia się kilka kolorowych sylwet. Jedna z nich rażąca czarnością na tle jasnej, oświetlonej plamy, unosi w górę rękę. Tłum zamarł. Cisza. Tłum słucha.

W ciszę ostrym kontrastem wpada opanowany metalowy głos speakera. Mówi wolno, wyrażnie... Hallo!... hallo! o tytuł mistrza środkowej Europy w wadze ciężkiej... walczą — pan Zbyszko Żarski contra pan Robert Tiegier.

Burza oklasków. Wstają, kłaniają się.

Stoją tyłem do siebie na przekątni Ring wolny! Cisza... Gong! Tysiące rozgorączkowanych oczu tłum wpatrzone w ring. Natężenie podniecenia wzrasta. W powietrzu żywo! Zbyszko wyciąga ręce do gardy i opuszcza. Oczy mu dziko płoną. Muskulę drgają, przebijają się przez skórę, jak przez cienką firankę. Robert lepiej zbudowany, wyższy, zgóry patrzył na swego przeciwnika. Ruszyli naprzód — Przywitani się i tanecznym krokiem, pełni dziwnej elegancji ruchów, zaczęli krążyć koło siebie. Zwierają się w sobie. Twarze ściągnięte w grymasie skupienia, bystrej obserwacji. Krążą koło siebie, jak dwa drapieżne ptaki. W tłumie cisza. Zbyszko jest szybszy w ruchach. Pah! pah! — dwa szybkie, jak błysk uderzenia, miękkie przedzierają się przez gardę Roberta. Addaa!! — tłum zawył. Tysiące gardzieli. Tysiące rozszerzonych oczu. Tłum walczył. Tysiące rąk wykonywało ruchy i ciosy.

Break! — i znów krążą dokoła siebie dwa drapieżce. Tłum ryczy. Pah! pah! — biała sylweta sędziego wdziera się między walczących. Robert dochodzi do zwarcia i zbija Zbyszkowi oczy. Puchną mu momentalnie. Tłum wyje! Zbyszko! Zbyszko! Jeszcze jeden pechowy cios w oczy.

Gong! Przerwa. Siadają na krzesłach, biorą masaż. Zmywają Zbyszkowi oczy. Zbyszek spoglądał na tłum. Panowała cisza. Panie i oficerowie w pierwszych rzędach coś szeptali. Uderzył go nagle kontrast. Między fularami, żorzetami, kangarnami, jakaś postać starca nędznie ubrana, białe włosy i czapka w ręce

numerowego. Siedział blady, skurczony i wzrokiem lekko musnął postać Zbyszka! Opuścił Zbyszko głowę. Ojciec...

... wolny! Gong! Cisza. Zwierają się — Pah! pah! pah! trzy ciosy jak piorun wpadają na Zbyszka. Zbyszkowi znikł straszliwy wyraz twarzy, jakiś niepokój, czy niechęć do walki odczuwa. Odczuwa też dziwną zmianę u Zbyszka tłum. Jeszcze jeden pechowy cios w oczy Zbyszka... Krew cieknie mu z oczu kropkami. Zdaje się wszystkim, że Zbyszko płacze krwawymi rubinami też. Zbyszko już widać słabnie, rzuca oczyma w tłum. Przez krwawą zasłonę widzi smutny wzrok ojca. Muszę wygrać! Albo niech mnie trupem stąd wyniosą. I... z gardy... fiuta, dwa proste i prawy sierpowy osadza, jak obuchem, na szczęce Roberta. Zachwiał się Robert... pada... Raz... dwa... trzy... widownia wyje! osiem... dziewięć... aut! Zda się, że w mrocznej sali rozpętały się złe żywioły. Wrzask dziki, oklaski... I spokojny głos speaker'a... przez K. O. zwyciężył pan Zbyszko Żarski...

Burza oklasków. Tysiące rąk porwało Zbyszka, zasypało kwiatami.

Głośnie śmiechy... szalona wrzawa...

Tylko ktoś smutny starym krokiem opuszcza widowisko. Wyszarżało ubranie. Czapka numerowego

Zbyszko ubrał się i szybko wyszedł z garderoby. Podążył na Okopową. Przystanął przed niskim domem... zapukał. — Wejść! Zbyszko nieśmiało otwiera drzwi i staje. Podniosła się wewnątrz postać starca. Lampa ledwo rzucała odrobinę światła. Jeszcze bardziej blada wydała się twarz Zbyszkowi. Długo spotkane oczy zatrzymały się... wtem... załkał Zbyszko... ukląkł...

— Przebacz ojciec...

— Chodź Zbyszkule! wiedziałem, że przyjdiesz.. Potęga serca jest większą od potęgi pięści.

Polesie

„Hallo przyszła paczka! Chodźcie prędko do szkoły na podwórze. Fruzia przedje.”

Marysia z rozwianym, lnianym włosom przebiegała przez poleską wioskę i wołała zdyszonym głosem na swe koleżanki i kolegów. Wszystkie dzieci wybiegały przed chaty i przyłączały się do niej, nawet starsi, ci którzy byli w domu, ociężałym krokiem wychodzili przed próg. Cała wioska ożywiła się nagle. Nawet jakimś cudem przybiegł Profim z pola i kilku jeszcze pastuszków z lasu. Bydło i gęsi zostawili pod opieką młodszych.

Po chwili przed szkołą zaroilo się już niby na jakie święto. Mały Awrysiuk przywlokł nawet ze sobą jeszcze mniejszą Zosię i Wasylka, bo nie mógł ich samych zostawić. Ze starszych przywędrował kulawy Sierko i dwie baby, które porzuciły robotę by, dogodzić swej ciekawości.

„Maryś pamiętaj, bierz najwięcej — przestrzegają ją sucha Konstancja. Wiadomo, toć jej chrzestną a małych dzieci niema.

Na podwórzu szkolnym stał wyniesiony na prędce stół i na nim...

Dzieci z ciekawością wlepiły modre, i ciemne oczęta w trzy duże paczki jeszcze zapakowane, prosto

z poczty. Koło stołu stała ich droga pani nauczycielka. Józek Plaszkowski kręcił się w pobliżu, jako że on te paki przywiózł z Dąbrowicy, a to przecież 24 km., więc spodziewa się, że mu coś za to kapnie. Choćby torebką mąki.

Dzieci cisnęły się do stołu z niecierpliwością. Gwar panował i ruch, ale radosny, dziecięcy.

Marysia Plaszkowska stała tuż koło pani nauczycielki. Widziała, jak jej się ręce trzęsły przy rozpakowaniu. Sznurek i papier opadł i wreszcie uniosło się wieko.

Ręce pani zaczęły wyjmować i wyjmować. Na stole urosł cały stos. Zachwycony pomruk przeszedł po dzieciach. Czegóż tam nie było! I zeszyty i książki i ubrania jakieś, a najwięcej to tych torebek różnych z mąką, kaszą czy cukrem. Pani nauczycielka z uśmiechem badawczo przemknęła wzrokiem po rozpromienionych, jasnych twarzyczkach. „Czekajcie — rzekła dzwicznym głosem. — Zaraz wam to rozdaję tylko najpierw przeczytam list a jak są, to i osobiste liściki otrzymacie”. Dzieci z radością przytaknęły i znów oczekiwały, czy nie padnie ich nazwisko z ust pani i nie dostaną pakieciku z listem. Mały Awrysiuk szarpnął Marysię za rękaw. Zrazu nie uczuła, tak była zasytana w swym liście. Potem dopiero spojrzała na niego i niechętnie burknęła: „A co?”

„Powiedz, bom zapomniał, co to za miasto przysła nam te paki?” Marysia spojrzała nań z politowaniem i z pogardą. Tego nie wiedzieć! Tego?! „To nie

miasto ino taka szkoła, to jest klasa, z Nowego... z Sącza."

Poczem zaczytała się w długim liście. A pani przemówiła: „Teraz nie czytajcie. Potem to uczynicie a teraz będę rozdawać!...” Radosny okrzyk przygłuszył ostatnie słowa i suche palone, rączki chciwie wyciągnęły się w jej stronę.

Długo tego dnia Pani nauczycielka modliła się gorąco. Ten dzień był jasnym dniem w jej pracowitem życiu. „Niech Bóg błogosławi tym panienkom z Sącza — myślała. — Niczem innem nie jesteśmy w stanie się odwdziżyć.”

Maria Zehetgruberówna kl. III a. Gimn. Żeńskie.

Czy wojna?

Świat jest żądny sensacji i z zaciekawieniem obserwuje, jak one się rozgrywają, jakie przynoszą ze sobą zmiany i nowości i wreszcie oczekuje, jaki wyniknie z nich skutek. Jeżeli więc przydarzy się coś na globie, co zdoła skupić na sobie uwagę milionów, równocześnie pojawiają się i pytania, które w tym momencie ludzkość najbardziej ciekawia.

Dzisiaj ogromna ilość ludzi na świecie pyta się: czy będzie wojna? — kiedy? To są pytania ogółu. Ale są i tacy, którzy pytają dalej: kto z kim? — o co?

Weszliśmy już w okres, gdy dorosło pokolenie młode, silne, którego umysł 20-letni nie jest obarczony wspomnieniami wielkiej wojny. — Wszak, gdy ona szalała, ci dzisiejsi młodzieńcy wierzgali jeszcze drobnymi stopami w powijakach i nie słyszeli odgłosów działań wojennych, gdyż tłumila je miękka poduszka. Jest więc już młodzież, która może iść i bić się. Młodzież tembardziej do bitki chętna, bo wbrew swej woli musi siedzieć beczynnie: żywot nędzny prowadzi. A wojna? — ta wiele zmienia.

Gdy przed paroma miesiącami w prasie pojawiły się notatki o nieporozumieniach włosko-abisyńskich, ogół wcale się nimi nie przejął. Przecież Abisynja jest od nas daleko, a zresztą bić się jeszcze nikt nie musi i nikt o wojnie nie myśli naprawdę. A dziś — stoi ona już niejako przed nami. Może, gdy numer ten znajdzie się w rękach czytelników, na polach Afryki będzie leżało już wiele trupów białych i czarnych, a może też same białe będą spoczywać na dnie Morza Śródziemnego. Bo niewiadomo jeszcze, kto z kim będzie się bił.

Ludzie, którzy się współczesnymi Włochami interesowali mogli w zupełności spodziewać się dzisiejszego rozwoju wypadków. Odpowiednie wnioski można było wysnuwać z następujących założeń:

1). Abisynja jest ostatnim (nie mówiąc o Liberji) wolnym krajem w Afryce. Jej niski poziom kulturalny stanowi doskonały pretekst do narzucenia jej swego protektoratu. Pod tem pięknem mianem należy rozumieć jaknajdalej idący wyzysk gospodarczy.

2). Włochy, dzięki forsowaniu przez Mussoliniego wzmożenia przyrostu naturalnego ludności, poczynają się w swych granicach dusić. Wnet będzie we Włoszech za mało chleba, by żywić 44 miliony ust ludzkich. Pozatem Włochy potrzebują wielu surowców, których im brak u siebie. Bardzo chętnie również umieszczaliby swoje produkty na jakimś rynku. Abisynja zaś może wziąć wszystko, bo przecież sama nie produkuje niczego.

3) Mussolini postawił Włochom przed oczami obraz wielkiego imperjum rzymskiego i powiedział: tak potężnymi musimy być i my, gdyż jesteśmy tym samym szczepem. Dzisiaj więc, gdy wewnętrznie już

Włochy jako tako urządził i wyczerpał swój program, którym zajmował wszystkie myśli Włochów, musiał je zaabsorbować czemś innem, co jest równocześnie dalszym ciągiem faszystowskiego programu. Mussoliniemu uśmiecha się zdobywca wyprawa na Abisynję podobnie, jak niegdyś Napoleonowi na Moskwę. Do Napoleona zresztą czuje on dziwny sentyment, gdyż mu bardzo imponuje i jeżeli mówi o wielkich ludziach świata, to wspomina tylko Cezara, Napoleona i... siebie. No, ale Napoleon potknął się na Moskwie, a wiadomo, że w historii niektóre wydarzenia lubią się powtarzać. I myślę, że wielu jest ludzi, którzy wcale się nie będą dziwili, za rok np., jeżeli w gronie wódzów Europy braknie Mussoliniego.

W ten sposób wygląda ta sprawa od strony Włoch. Ale nie same Włochy mają tu co do powiedzenia. Jak wiadomo państwem, które reprezentuje niejako Europę w straszeniu, narazie, Włoch sankcjami jest Anglja. Usadowienie się Włoch na terenie Abissynji nie byłoby przez Anglię mile widziane. Dlaczego? Otóż przedewszystkiem, Włochy po zawładnięciu Abissynją pragnęłyby napewno rozszerzyć swe wpływy i na teren Egiptu, a w dalszej konsekwencji dążyłyby do wywierania wpływu na ruch w Kanale Sueskim. To zaś nie może być dla Anglii wcale obojętnem. Bo przecież tędy prowadzi droga do Indji Brytyjskich, a gdyby ją Anglja straciła, wtedy i Indje mniejby odczuwały bliskość swej „protektorki“ i zapragnęłyby żyć bardziej samodzielnie. To jedno. Po drugie zaś, Anglja niełatwo pogodziłaby się z tą myślą, by jakieś inne państwo poczęło się obok niej zbytnio rozszerzać terytorjalnie na terenie Afryki i za żadną cenę do tego nie dopuści. Chodzi tu przecież o całą masę surowców, prawie jeszcze nie tkniętych przez eksploatację.

Zawładnięcie temi dobrami napewno było objęte programem kolonialnym Wielkiej Brytanji. I kto wie zresztą, czy zapoczątkowanie przez Mussoliniego kampanji wojennej przeciw Abissynji nie jest bardzo na rękę pla polityki angielskiej.

Gdyby bowiem Anglja sama rozpoczęła opanywanie Abissynji, napewno znaleźliby się tacy którzyby to nie było w smak i z którymi trzeba by było ostatecznie zdobyczami podzielić.

Dzisiaj zaś sytuacja przedstawia się inaczej. Włochy zaczęły i Anglja wystąpiła w obronie Abissynji. Nie należy jednak sądzić, że ta obrona płynie z dobrego serca. Nic — tylko Anglicy znają dobrze pewne polskie przysłowie: „gdzie się dwóch bije, tam trzeci korzysta.“ I Anglicy są tym trzecim. Biedny zaś drugi, t. j. Abissynja za tę bitkę bardzo słono zapłaci. Bez względu na to, jak się ta wojna zakończy i gdzie się rozprzestrzeni. To wiemy napewno.

Pozatem krąży wiele przypuszczeń, a między innymi mówi się o wojnie europejskiej. A gdyby ona wybuchła, to może i na Polskę miałaby wpływ. Może kto inny byłby naszym sąsiadem na południu.

O. Sykora, stud. S. G. H., abs. I. gimn.